



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.
 Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

Z WYSPY ATLANTY

Wyczytała przez drobnowidz i przepisała

Zofia Urbanowska.

Janek sierota do Redakcyi Wieczorów Rodzinnych.

Różany gaj, dnia 5 Sierpnia 1890 r.

Szanowna Redakcyo.

Noszę już ubiór pazia, bardzo ładny ubiór, całkiem roślinny, z ciemno czerwonej materyi, wyrobionej z włókna azyatyckich pokrzyw. Nasze krajowe pokrzywy dają także włókna, z których możnaby wyrabiać tkaniny; ale azyatyckie są o wiele mocniejsze, mają połysk jedwabiu, piękną białosc, dają się farbować na różne kolory, a rosną tak bujnie, że dochodzą do pięciu łokci wysokości. Wyroby z nich znane są w handlu europejskim, a w Anglii bardzo nawet używane. Podobno tam gdzie te pokrzywy pożyteczne rosną, ludzie lękają się ich dotknięcia jak ukąszenia węża, a wyziewy z nich, choć roślina nie zawiera w sobie trucizny, są tak silne, tak drażniaco działają na oczy, że kto wśród nich parę godzin przebywa, temu potem łzy płyną przez kilka dni.

Tych wszystkich szczegółów dowiedziałem się od mego przyjaciela — bo mam już przyjaciela, który się nazywa bardzo ładnie: Viola Tricolor. Jestto paź królewiczowej. Co też powiedzą moi bracia stryjeczni, gdy się dowiedzą że chodzę w pokrzywach! Materya ta haftowana jest bogato z przodu i na rękawach w białe róże. Duży koronkowy kołnierz i mankiety z kory drzewa Daphne Lagetto, oraz czapeczka ozdobiona zamiast pióra gałązką białej, świeżo rozkwitłej róży, dopełniają tego oryginalnego, wielce malowniczego stroju, przypominającego formą stroje średnio-wieczne, jakie widywałem na obrazach historycznych. Paziowie królewiczowej noszą takie samo ubranie naodwrot, to jest z białej materyi haftowanej w róże szkarłatne.

Gdy po takim przebraniu przejrzałem się w lustrze, długo patrzyłem na siebie, nie dowierzając, czy to ja jestem naprawdę, czy nie ja. Tak przyglądającego się sobie, wezwał dworzanin do królewicza, objaśniwszy że znajduje go w dolnych ogrodach, na lewo od pałacu. Szybko zbiegłem ze schodów i podążyłem we wskazanym kierunku.

Z lewej strony pałacu rozciągał się wspaniały park angielski, którego drogi wysypane były zwirem. W nocy deszcz padał i teraz wszystkie drzewa, wszystkie trawy błyszczały kroplami rosy. Gdziekolwiek rzuciłem okiem, wszę-

dzie słońce, niby wielki czarodziej, przemieniało je w dyamenty, zapalając tysiącami blaski, a dyamentów tych było takie mnóstwo, jak gdyby cały ten park był skarbcem królewicza Krysztalka. I rozmyślałem sobie nad dziwactwem ludzi, którzy tak uganiają się za błyskotkami i wydają na nie wielkie sumy pieniędzy, za które dużo chleba możnaby kupić dla nędzarzy; którzy trzymają je zamknięte w pudełku, czasem tylko na nie spoglądając — gdy mogliby za darmo co rano do syta się na nie napatrzeć!

Na zakręcie drogi spotkałem kwiat leżący na ziemi; ślady kół przy nim wskazywały że wózek po nim przejechał, bo liście wciśnięte były w błoto. Nie mogłem nigdy patrzeć obojętnie na kwiaty konające pod nogami koni lub przechodniów, a gdy bracia moi zrywali kwiaty bez potrzeby i rzucali je potem lekkomyślnie na ziemię, doznawałem zawsze uczucia żalu i oburzenia, i mówiłem im że są barbarzyńcami. Zapomniawszy o królewiczu, podniosłem roślinkę, otrząsałem z pyłu i błota, i skropiłem kilkakrotnie wodą u bijącej w pobliżu fontanny; zdawało mi się że pod wpływem moich starań, a głównie cienia i wilgoci, roślinka powoli odżyła. Wydawała nawet piękny, silny zapach: była to *lewkonia*.

Posłyszałem szelest kroków na ścieżce i ujrzałem przed sobą królewicza. W lekkim, skromnym ubraniu z surowego płótna i kapeluszu ze słomy panamskiej, wydał mi się równie pięknym i sympatycznym jak w blasku królewskiego majestatu. Popatrzył na mnie uważnie i zapytał:

— Widziałem że podniosłeś kwiat zdeptyany i skropiłeś go wodą: dla czego to zrobiłeś?

— Bo żal mi było że ma umrzeć w skwarze słońca i pyłe.

— I zapragnąłeś ocalić mu życie... Jesteś w krainie kwiatów: nie setki już, ale tysiące rośnie ich dokoła piękniejszych, wspanialszych niż ten niepozorny kwiatek. Możesz je zrywać dowoli. Co znaczy śmierć jednej roślinki wobec tak liczego i barwnego tłumu?

— Może nie wiele... ale roślina jest istotą żyjącą. Nie mogę nigdy opędzić się myśli, że odczuwa krzywdę wyrządzoną jej przez człowieka... a przytem, kwiat okazały czy niepozorny, jest dziełem Bożem, i zdaje mi się że nie godzi się nim poniewierać.



Lewkonja kwitnąca.

— Cóż zatem chcesz zrobić z tą roślinką?

— Korzonki ma nienaruszone: posadzę ją tu gdzie w dobrej ziemi. Niech sobie żyje i cieszy się powietrzem i słońcem.

Wydało mi się że lekkie wzruszenie przebiegło po twarzy królewicza. Popatrzył na mnie w milczeniu i rzekł:

— Z tego co napisałeś o stokrotce, a co ci zdobyło nagrodę konkursową, dowiedziałem się że bardzo lubisz kwiaty, a dziś się przekonałem że je kochasz. Ale Janku, wiesz-że ty co kochasz? Wszelkie uczucie ślepe i nieświadome, nie wiele bywa warte.

Zmięszały mnie te wyrazy: nie zgadywałem co królewicz chciał przez nie powiedzieć.

— Czy znasz kwiat który ocaliłeś?

— Lewkonja — odpowiedziałem.

— Tak, to jej imię chrzestne, ale jakie jest jej nazwisko rodzinne?

Tego nie wiedziałem.

— A czy wiesz z jakich części kwiat się składa i umiałbyś je kolejno nazwać?

Wiedziałem coś o tem, ale niedokładnie — a nie chcąc dać błędnej odpowiedzi, wołałem otwarcie przyznać się do nieświadomości. Królewicz wyciągnął rękę po roślinkę, a ja podając mu ją, spojrzałem na nią uważniej: na trzech zielonych łodyżkach, umocowane były naprzemian żółtawe kwiatki.

— Patrz — mówił królewicz — widzisz tu korzeń, łodyżkę, listki, nakoniec kwiaty i owoce.

— Owoce — powtórzyłem ze zdziwieniem — nie wiedziałem że lewkonie są roślinami owocowemi!

— No, nie są to owoce do jedzenia — powiedział uśmiechając się Zielonko. — Ludzie przyzwyczaili się za owoc uważać tylko część rośliny przyjemną dla podniebienia, ale botanicy zupełnie inaczej się na to zapatrują. Owoce, według nich, jest to każde ziarno zdatne na nasienie, często wysiewające się same przez się, dla wydania rośliny podobnej do tej z której samo powstało. Widziałeś kiedy główki maku napełnione brunatnymi ziarneczkami?

— Znam je doskonale! Kwitną one obficie wśród naszych łąnów zbożowych, a ponsowe ich kwiaty, wyglądają jak korale wśród złota.

— Dla botaników, są one owocami równie dobrze jak gruszka zawierająca kilka pesteczek i brzoskwinia mająca jedną tylko pestkę.

Zdziwiony byłem tem odkryciem. Królewicz oderwał dwa kwiatki od łodyżki, a roślinę położył na marmurowym gzemisie zbiornika wody wypływającej z fontanny. Jeden z kwiatków które był oderwał, zatrzymał, a drugi mi oddał, mówiąc:

— Co tu najwięcej uderza twoje oczy?

Te barwne płatki, prawda? Oberwij je kolejno, jeden po drugim i policz wiele ich jest.

Spełniłem jego rozkaz, rachując:

— Jeden, dwa, trzy, cztery...

— Dobrze. Cóż widzisz teraz?

— Cztery małe listeczki zielone, które były poniżej żółtych.

— Oderwij je także i zobacz co pozostanie.

— Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć...

sześć jęczyczków z których dwa są krótsze od czterech innych. Wszystkie mają na końcach coś jakby malutkie woreczki przeszyte przez środek.

— Jeżeli dotkniesz końcem palca tych małych woreczków, pozostanie na nim ślad maćzki żółtawej. Oberwij je tak jak tamte oberwałeś.

Gdy odpadły, pozostał tylko rodzaj małej kolumny zwężonej u góry i zakończonej niewielkiem zgrubieniem, niby wypukłą poduszeczką.

— Widzisz Janku — rzekł królewicz — ile to rozmaitych drobnych przedmiotów było w jednym kwiatku; tak samo bywa i z innymi kwiatami. Ale pojmujesz, że każdy z tych przedmiotów trzeba było jakoś nazwać dla odróżnienia od drugich. Wszystkich



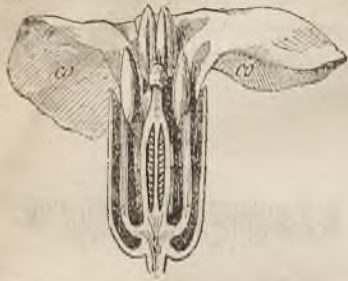
Oderwany kwiatek lewkonii.



Pręciki, jajecznik i słupek.

nawz mówić ci nie będę, tylko kilka, byś je mógł łatwiej za-
trzymać w pamięci. Tamten kwiatek już nie istnieje, weźmy
drugi.

Wyjął z kieszeni złoty nożyk i przeciął kwiat przez
sam środek.

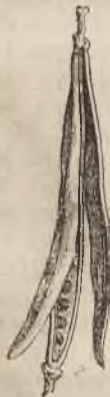


Przecięcie kwiatu połowiczne.

Małe jajeczki z zawieszono-
mi na nich u góry woreczkami, otrzymały nazwę *pręcików*;
a ta kolumna w pośrodku ma aż dwa nazwiska. Część dolna,
grubsza, gdzie znajdują się jak widzisz, małe punkciki, mają-
ce stać się ziarneczkami, nazwiemy *jajecznikiem*, bo ziarnka,
to są jajeczka rośliny, prawdziwe jajka które ziemia wysiedzi,
niby troskliwa kokosz. Jak małe pisklęta wykluwają się z ja-
jek, tak żywe roślinki z czasem się z nich wyklują. Ta zaś
część wyższa kolumny ze swem końcowem zgrubieniem, zwie
się *słupkiem*. Kielich, korona, pręciki, jajecznik, słupek, pięć
nazw... to nie jest chyba za wiele dla jego ekscelencji pana
posła, ani dla czytelników *Wieczorów rodzinnych*, któ-
rym pewnie powtórzysz naszą rozmowę.

Tytuł ekscelencji wywoływał zawsze na twarz moją ru-
mieniec — i teraz także czułem żem się zaczerwienił.

— Jest dużo jeszcze innych nazw nadanym różnym czę-
ściom kielicha, korony, małym woreczkom na pręcikach, ich
pyłkowi, jak również zgrubiałości na słupku; ale możemy
obejść się bez nich: zapamiętaj te tylko które ci powiedział-
łem. Ale nie na tem koniec; z kwiatem dzieją się dziwne
rzeczy. Skoro korona okwitnie, pręciki upadną, słupek się
wydłuży i przemieni w wązki strączek, który gdy dojrzeje,



Strączek długi krzy-
żowych.

otworzy się z obu stron, dla wypuszczenia ni-
by ptaszków z klatki, ziarneczek umieszczo-
nych na ścianie środkowej. Te wszystkie czę-
ści kwiatu, które ci pokazałem i których po-
znałeś nazwy, są szczególnymi cechami jego
rodziny. Przeszło sto gatunków roślin naszych
pół nosi te same cechy: kielich i korona mają
po cztery części, a w kwiecie jest sześć pręc-
ików, z których dwa zawsze są krótsze od in-
nych, jak tu oto w lewkonii. Strączki bywają
długie lub krótkie, jak możesz zobaczyć na
lewkoniach rosnących po tamtej stronie wo-
dotrysku. To jest świadectwo rodowe krzy-
żowych, tak nazwanych dla tego, że płatki
korony tworzą krzyż. Odtąd, gdy spotkasz

na drodze roślinkę której kwiaty będą tak ułożone, nie przejd-
dziesz już koło niej, jak koło obcej, ale zawołasz: Jak się
masz! niewiem wprawdzie jak ci na imię, ale znam twoją ro-
dzinę. Należysz do krzyżowych, *Cruciferae*.

Sięgnąłem po roślinkę leżącą na marmurowym gziem-
sie zbiornika i patrzyłem na nią teraz wzrokiem zupełnie innym.
Znałem ję życie domowe, ję gospodarstwo i obyczaj. Pod-
czas gdy ja przypatrywałem się lewkonii, królewicz przypatry-
wał się mnie i powiedział:

— Strój pazia nie źle ci przypada do
twarzy, młodzieńcze. Wiedzę iż od chwili
gdy go włożyłeś, jesteś posłem tylko inco-
gnito, a jawnie będziesz pełnił przy mnie
służbę pazia.

Ten wyraz „incognito” czarodziejsko
na mnie podziałał. Czytałam nieraz w ga-
zetach, że monarchowie, księżęta, wielcy
dostojnicy, gdy chcą uniknąć męczących
ich honorów, odbywają podróże „incognito”
niby „nieznani” — a ta tajemniczość, jak
wszystko co tajemnicze i niezwykle, podo-
bała mi się bardzo. Poseł przemieniony
w pazia, to niewiem czemu przypomniało
mi bajkę o księżniczce zaklętej w kaczkę.
Ale kaczka i paż, co za porównanie! Czem-
że jest mój świetny, błyszczący ubiór,
w obec szarych piór tego brzydkiego
ptaka?

— Niech Wasza Królewiczowska
Mość pozwoli, aby mię tu nie nazywano
więcej ekscelencją — odezwałem się nie-
śmiało.

— I owszem, paziom nikt nie daje takich tytułów: jako
paż będziesz nazywany po imieniu, tylko w razach gdy ci wy-
padnie potrzeba zrzucić twoje incognito i wystąpić w charakte-
rze urzędowym, będziesz znów małą ekscelencją.

Małą ekscelencją! ten wyraz „mały” nigdy mi się nie po-
dobał. Wolę już być *dużym* paziem. Rozumiałem doskona-
le uczucia Cezara gdy mówił, że woli być pierwszym w lichéj
chacie niżli drugim w Rzymie.

— Jako paż, pójdiesz zaraz do *Koralowego* grodu —
mówił dalej królewicz — i zaniesiesz królewiczowej *Perełce*,
mój bratowej, klejnoty odemnie w darze. Dla tego kazałem
cię wezwać; że zaś nie byłeś tam jeszcze i nie znasz drogi,
więc dam ci przewodnika mówiącego dobrze po francuzku.
Trzeba jednakże *Janku*, żebyś nauczył się po atlantyjsku, bo
bez znajomości tego języka, trudno ci będzie porozumiewać
się z mieszkańcami wyspy. *Viola* może ci w tém dopomóc;
jestto bardzo dobry chłopiec i w twoim wieku. Gdy go po-
znasz, pokochasz go niezawodnie.

Przyłożył do ust srebrną świstawkę i w téjże chwili wy-
biegł z poza drzew ładny jasnowłosy chłopiec w barwie króle-
wiczowej; twarz jego pogodna podobała mi się od pierwszego
rzutu oka. Niósł hebanową szkatułkę ozdobioną bogatą in-
krustacją; w zamku tkwił złoty kluczyk. Królewicz otworzył
szkatułkę i spojrzawszy uśmiechnął się z zadowoleniem. Spoj-
rzałem i ja, i o mało nie krzyknąłem z zachwytem. Na posła-
niu z mchów puszystych jak aksamit, leżał wspaniały dyadem
naszyjnik i zausznicie z konwalii, czerwonych pojedynczych
kwiatków werbeny, i delikatnych listków paproci. Naślado-
wało to do złudzenia, mieszaninę pereł i koralu. Królewicz
zamknął szkatułkę i oddał mi ją wraz z kluczykiem, poczem
przemówił coś do pazia po atlantyjsku wskazując na mnie
i oddalił się.

Zostaliśmy sami, a choć widzieliśmy się po raz pierwszy
dopiero, zaznajomiliśmy się prędko. *Viola* przystąpił do
mnie z uśmiechem i podał mi rękę przyjaźnie, mówiąc z całą
szczerością, że rad jest bardzo iż królewicz polecił mu być
moim nauczycielem języka atlantyjskiego, bo mu się podoba-



Małeńkie strączki krzy-
żowych.

łem od chwili gdy w sali tronowej śpiewałem pieśń, której poważna a wspaniała melodya, dotąd brzmi mu jeszcze w uszach. Bardzo mnie tem chwycił za serce i zaczęliśmy mówić sobie po imieniu. Posadziłem ocaloną roślinkę w pobliżu wodotrysku i ruszyliśmy w stronę Koralewego grodu. Viola zarzucił mnie pytaniami o moją rodzinę, kraj, powód przybycia, a ja opowiadałem mu szczerze wszystko, nie tając nawet rojeń moich braci stryjecznych, biorących wraz ze mną udział w konkursie, że jeden pragnął dokonać na Atlantycie jakiego wielkiego czynu i ożenić się z księżniczką Gentianą, a drugi gotów był poprzestać na tytule hrabiego i jakiej damie honorowej, byle nie bardzo starzej. Viola słuchając śmiał się do łez.

— Dama dla Adasia, możeby się znalazła — powiedział — ale co do księżniczki, to sprawa stracona. Wszystko mi się zdaje, że ona z czasem zostanie królową hiszpańską.

— Jakto? — zapytałem zdziwiony — czyżby na wyspie Atlantycie wznowiono średniowieczne, a zdaniem mojem barbarzyńskie zwyczaje zaślubiania dzieci wbrew ich wiedzy i woli?

— O, nie, ale zanosi się na to małżeństwo. Alfons XIII-ty młodociany król Hiszpanii, przysłał księżniczce lalkę mówiącą według pomysłu Edisona, czem serce jej podbił odrazu. Jak tylko poseł hiszpański lalkę wydobyl, wyciągnęła zaraz do niej rączki, i zaczęła ścisnąć ją gorąco; a gdy jej pokazano portret Alfonsa przedstawiający tego monarchę na koniu z biegunami, zawołała: caca! Był to, zdaje się, dość wymowny objaw uczuć księżniczki, okazujący że się jej spodobał rycerz na drewnianym rumaku. Poseł hiszpański odjechał uszczęśliwiony, złożywszy jeszcze w darze duże pudełko czekoladek, narodowego przysmaku Hiszpanów, bo choćby nawet małżeństwo nie przyszło do skutku, była to zawsze wróżba przyjaznych między dwoma krajami stosunków.

Rozweselony domysłami politycznymi Violi, rzuciłem pytanie.

— Co też mówi lalka księżniczki?

— Umie różne ładne bajeczki i powiastki, a pierwsze słowa jakimi przemówiła do księżniczki, były: „Alfons XIII pozdrawia swoją przyjaciółkę Gentianę i prosi, aby pamięć o nim zachowała w swem malutkiem serduszkum.” Prośba pełna głębokiego znaczenia, nieprawdaż? Gazetom atlantyjskim podłużyła ona na długo za temat do artykułów wstępnych.

Z takim zajęciem słuchałem mego towarzysza, że nie bardzo uważałem jak idę, a szliśmy właśnie przez lasek świerkowy — i zawadzwszy nogą o wystający korzeń, padłem jak długi upuszczając szkatułkę.

— Ach! — jęknąłem podnosząc się — po co też to drzewa mają korzenie!

— Jakto, po co? — zawołał Viola, który żart mój wziął za prawdę — chyba nie wiesz jakie znaczenie mają korzenie dla roślin. One służą do utwierdzenia drzewa do ziemi i dostarczają jej pożywienia, a spełniają swe zadanie w ciemności tak dobrze, jak gdyby były zaopatrzone w latarnie! Korzeń i łodyga przyjacielu, są najważniejszymi częściami rośliny: on zaopatruje szpizarnię, a ona jest szafarką rozdawającą soki pożywcze gałęziom i liściom.

(d. c. n.)

Sprawozdanie z konkursu wakacyjnego dla chłopców.

I młodzi czytelnicy Wieczorów nie zawiedli tym razem oczekiwania naszego. Odpowiedzi na konkurs: „Opis wakacji i jaką się z nich korzyść odniosło” nadeszły dobrze napisane i po większej części dowodzące, że każdy z młodych korespondentów rozumie to dobrze, iż świat cały, wszystko co nas otacza, nauką dla nas być może, i powinno przynosić nam korzyść, bądź to umysłową, bądź moralną. Taką też przyniosły niezawodnie Bartkowi Zwycięzcy wakacje, które „dobre były”, jak z zadowoleniem przyznaje Bartek Zwycięzca. Ale lepszym od dobrze spędzonych wakacji jest to, że „bez smutku do roboty się zabieramy, bo czy czas roboczy, czy święto, zawsze nam dobrze i wesoło w naszym drogim domu”. Myślmy więc, że to właśnie uczucie miłości i zadowolenia jest największą z korzyści, jakie z wakacji i z życia odnieść można, a że przeto i sam opis na pochwałę zasługuje ze względu na logiczny układ i poprawny język, więc też Bartek niech będzie Zwycięzcą prawdziwym i nagrodę konkursową otrzyma. *Kozak Sawa* także nie małą korzyść odniósł

z wakacji: zwiedził ogromny kawał kraju, a że „rodzice każą mu zwracać pilną uwagę na wszystko, co go otacza”, więc też „patrzył i słuchał chętnie” i opisać potrafił, jak na swoje lata wybornie. 14-to letni *Słowik z nad Zbrucza* ojcu zawdzięcza że odniósł korzyść z przypatrywania się robotom gospodarskim, których znaczenie ojciec mu objaśnił; nie rozumie tylko, dlaczego *zabijać trzeba było ptaszki*, aby naocznie się przekonać „do jakiej rodziny należą i jakie mają obyczaje”? *Mazur z nad Dunaju* opisuje nam wycieczkę do kopalni soli w Ischler Salzberg, zdaje się jednak więcej mieć na celu opisywanie widzianych osobliwości, niż korzyść jaką z oglądania ich mógł odnieść.

W ogóle jednak, tak te, jak i inne wypracowania konkursowe, pisane są po większej części starannie i z widocznym zamilowaniem... tematu, czemu zresztą nie dziwimy się wcale, bo któżby nie lubił wakacji?

Ponieważ młodzi czytelnicy nasi znowu się upominają o konkurs, czyniąc przeto zadość ich życzeniu, podajemy obrazek, którego treść rozwinięta w powiastce, stanowić będzie zadanie konkursowe.

Obrazek przedstawia rodzeństwo, wesoło wybierające się „Na majówkę”. Najstarsza siostra pakuje w koszu przysma-



Rycina do powiastki konkursowej.



U PRZEWOZU.

ki, z których składać się będzie śniadanie, czy podwieczorek młodsze rodzeństwo ciekawie się przygląda jęj robocie, lub dopomaga, znosząc przysposobione zapasy i potrzebne do spożycia ich przybory.

Jak się majówka uda, czy wszystko dojedzie w całości, kogo jaka spotka przygoda, kto będzie samolubnie używał przyjemności, jakie nastęrczy wycieczka, a kto znajdzie sposobność złożenia dowodu, że zawsze o drugich pamięta, czy w ogóle zdarzy się, lub nie taka sposobność, to już fantazyi waszój zostawiamy.

Piszących podzielimy podług wieku na trzy oddziały: *pierwszy*, dzieci do lat 10-ciu: najlepsza powiastka otrzyma w nagrodę, książkę p. t. „Podróż naukowa po pokoju odbyta z młodymi przyjaciółmi.

Oddział *drugi*: dzieci od lat 10-ciu do 13-tu; nagrodę najlepszej powiastki stanowić będzie: książka p. t. Cztery miesiące pobytu wśród dzikich.”

Oddział *trzeci* czytelnicy od lat 13-tu do 15-tu dla których jako nagrodę przeznaczamy: „Sielankę Brodzińskiego z ilustracyami Andriolego p. t. Wiesław”.

Spodziewamy się, że to zadanie wszystkich czytelników naszych zajmie, a młodszym istotną korzyść przynieść potrafi. Wypracowania przyjmować będziemy do dnia 15 grudnia *włącznie*; prosimy o szczegółowe wymienienie imienia, nazwiska, lat, oraz adresu — i kończymy, wyrażając nadzieję, że obmyślane przez nas zadanie konkursowe przypadnie wam do smaku nie mniej od wszystkich poprzednich, na które nadszły odpowiedzi tak liczne, tak nieraz dobrze a zawsze tak starannie napisane.

U PRZEWOZU.

— Do mój łodzi proszę bardzo,
 Nichaj państwo nie pogardzą,
 Toć przewiozę doskonale
 Przez tęj rzeki modre fale.
 Hej! panowie, grzeczne panie!
 Nic nikomu się nie stanie.
 Do przewozu jam jedyny,
 Nie próżnuję i godziny,
 Jadę tu, tam, gdzie wypadnie,
 I zapraszam wszystkich ładnie.
 Czy to jakie strojne pany,
 Czy to biednie człek ubrany,
 Czy to stary, czy to młody,
 Kto chce jechać przez te wody
 Rad mu jestem z całej duszy,
 I wnet wiosło łódź poruszy,
 Grosz za groszem wpada za to
 Wesolo mi spływa lato
 Spiewam sobie też od rana
 Oj ta dana, oj ta dana!
 Płynię łódźko dalej, dalej...
 Przewoż ludzi po tej fali,
 Od nieszczęścia Bóg ustrzeże,
 Bo się codzien modłę szczerze.

Helena Bojarska.

Korespondencya Wieczorów Rodziny.

Daleko, daleko od was odleciała wasza Gołąbka: nie jęj własne, lecz pary skrzydła uniosły ją... aż nad morze Północne! Czy tam jednak na obczyźnie, czy nad szarą Wisłą, czy nawet nad tak marną rzeczulką, jak ta Łapia, w której letnich kąpielu używała, Gołąbka zawsze o was pamięta, za-

wsze myślą do was powraca, zawsze kąty swoje miłuje... zawsze wreszcie brak jęj tēj przybranej rodzinke, z którą tak żyła się sercem, jakby od najmniejszego dzieciństwa razem z wami wszystkiemi wzrosła. Jaka szkoda, że was tu niema: ciebie, Biała Ostróżko, lub Czeska Niezabudko, Filaretko, Złota Przędzo, Jodelko z nad Noteci, wy wszystkie, pocziwie moje i drogie, coście przywykły wtajemniczać mnie w myśli i wrażenia wasze, jak siostrę, jak przyjaciółkę wypróbowaną. Patrzyłybyśmy razem na sino-zielone tonie morza, nieustannym kołyszące się ruchem, razem słuchały rytmicznych jęgo westchnień, a gdyby, zamiast mnie, nadleciała tu Jaskółka z nad Dunaju, jakby to ona słicznie opisać wam potrafiła morze, niebo, ludzi i piaski, wszystko, co się tu widzi, a co całkiem jest odmienne od widywanych w kraju obrazów! Pióro waszój Gołąbki mniej dobrze wywiąże się z zadania, to pewna tylko, że pragnęłabym aby „język prędko... Powiedział wszystko co pomyśli głowa...”

Nie mam wszakże zamiaru opisywać wam piękności morza, ani wrażenia, jakie ono na mnie wywarło. Kto morze widział, a wrażeń tych nie doznał, temu słowa moje wydadzą się słabe; kto go nie zna, temu nie dadzą innego o niem pojęcia nad to, które każdy mniej więcej utworzył już sobie z tyloktrotnie czytanych opisów. Ja więc mam tylko zamiar opisać miejscowości nadmorskie, w których ludzie wszelkiej narodowości zbierają się dla odetchnienia świeżem powietrzem lub wzmocnienia sił kąpielami morskimi. Zamieszkawszy w Heyst, które odznacza się wielką taniością, oraz zupełną swobodą jakiej się tam używa, zwiedzaliśmy wszystkie zakłady kąpielowe, w sąsiedztwie położone, począwszy od świetnej Ostendy, gdzie się elegancki świat zbiera, a skończywszy na skromniutkiem Middelkerke, lub Nieuport-les-Bains, które robi wrażenie odludnego pustkowie, zasypanego piaskami, niesionemi przez ciągle dmące tu wichry.

Zaczęliśmy wycieczkę naszą od Blankenberghu, odległego o 10 kilometrów (blisko półtory mili) od naszego Heystu, który jest sobie poprostu rybacką osadą. Przy starowieckich, wieśniaczych domostwach dziwnie odbijają nowomodne niedawno wzniesione zakłady kąpielowe, wygodne i zadość czyniące wymaganiom publiczności, która tu przybywa dla kąpeli, nie zaś dla zabawy lub pokazania się, jak goście nawiedzający Ostendę. W Blankenberghu mnóstwo też osób, a właściwie *osóbek*, bo odkąd żyję, nie widziałam tyle dzieci na jednym miejscu nagromadzonych. Liczna, jak wiecie, gromadka uczęszczająca do Saskiego ogrodu, jest nie nie znaczącą garstką w porównaniu z tym tłumem „milusińskich” który się tu wysypuje na wybrzeże z chwilą odpływu morza i obejmuje w posiadanie wilgotny jeszcze piasek. Bose, opalone, poubierane skromnie i o tyle czysto, o ile się nie powalają piaskiem, który ma tę szczęśliwą własność, że nie plami, bawią się tak swobodnie, tak ochoczo, że doprawdy gdyby nie wzgląd na to, że dorosła już jestem panną i jabym się z tą dzieciarnią chętnie bawiła w piasku, z którego syją wawy, urządzają sztuczne jeziora, przekopy, fortyfikacje, kopią kanały, fosy i na obwarowanych niemi wzgórzach zatykają chorągiewki. Sprzedają tych ostatnich trudnią się specjalnie przekupki, u których dostać można sztandarów jaśniejących barwami wszystkich narodowości: dzieci umieją rozpoznawać swoje i każde z nich zatyka na usypanej przez siebie warowni właściwą chorągiewkę, co bardzo ładnie wygląda, szczególnie gdy wiatr niemi porusza a cały las chorągiewek furka i jak barwne motyle miga w słońcu. Czasem się zdarza, że posadzą na wzgórz trzyletnie jakie bobo i każą mu piastować urząd chorążego: maleństwo siedzi poważnie i dumnie, w tem nadchodzi pierwsza fala przypływu i napelniwszy fosę wodą, zamienia wzgórze w wysepkę! Dzieci w strachu, robi się krzyk i wrzawa dużo większa od niebezpieczeństwa, ktoś starszy bieży na ratunek i wszystko się kończy szczęśliwie. Najgorzej wychodzi na tem ubranie, bo przy takich zabawach nie bardzo się o niem pamięta; ale rozważne mamusie dobierają materyałów trwałych, na którychby woda morska nie pozostawiała zbyt widocznych śladów — więc też toaletowe troski nie psują humoru dziatwie, która zbrojna w taczki, łopatki,

wiaderka, myśli tylko o zabawie, nie zaś o tém jak się wydadzą jej stroje.

W Ostendzie już co innego: i tu roi się od dzieci, i tu bawią się one w piasku, ale strojniesze, wykrygowane, i, nie chciałabym ich obmawiać, głównie zajęte wrażeniem, jakie na widzach sprawiają. Mówię to naturalnie o starszych, bo ma-lutkie wszędzie znaleźć potrafią swobodę.

Z Blankenberghu pojechaliśmy do Ostendy. Komunikacja łatwa, bo godzina jazdy koleją wzdłuż morza, którego jednak nie widać wcale. Zastłaniają je wydmy piaszczyste, droga więc nudzi jednostajnością, ale zato Ostenda sama wspaniała. Szereg przepysznych hoteli i eleganckich willi ciągnie się po nad samym morzem, broniony od przypływu przez tak zwaną z francuzka „dyge” (*digue*) czyli wał cembrowany na 30 metrów (około 50-ciu) łokci szeroki. Jest to rodzaj platformy, podobnej do tych, jakie ułatwiają wsiadanie do wagonu; ma ona 1½ kilometra długości, wyłożona jest cała płytkami z *terracotty* (palonej gliny) co bardzo ładnie i bardzo czysto wygląda, i stanowi ulubione miejsce przechadzki, rodzaj wspólnego salonu, zład po szerokich, wygodnych schodach, oddzielonych od morza niezbyt szerokim pasmem piaszczystego wybrzeża, zejść można prosto do wody.

Podczas przypływu zalewa je woda, ale z chwilą odpływu rozpoczyna się tu ruch, który widzieć potrzeba, aby mieć o nim pojęcie. Zaledwie cofnie się morze, zaledwie z pod odpływających fal jego wynurzać się pocznie wążutka zrazu, potem coraz szersza wstęga piasku, wnet ukazują się na wybrzeżu budki kąpielowe chwila bowiem odpływu jest hasłem rozpoczęcia dziwnej kąpeli. Budek jest z górą 500, ale czasem ich zabraknie i trzeba czekać swojej „kolei”, (zupełnie jak w naszym Pisemku!) a tymczasem zdarzają się tu bardzo komiczne sceny. Budka, ciągniona przez konia, wjeżdża wprawdzie na pełne morze, ale morze cofa się tak szybko, że nieraz wychodząc z wody trzeba przebieść kilkaset kroków w kostiumie bardzo zazwyczaj wytwornym, ale... kąpielowym.

Prócz tego pełno dzieci, pełno osób dla przyjemności brodzących w mokrym piasku, a na „dydze” to już tłum prawdziwy. Jedni przechadzają się, drudzy siedzą, inni przez lunety w dal patrzą na morze, czy nie widać okrętu lub łodzi, a każdy chciwie łąwi świeże, solą przesycone wyziewy morza, które osadzają na ustach smak słony i przytem podniecają apetyt w sposób prawdziwie zdumiewający. Ja, naprzykład, co nigdy rosą kwiatów nie żyłam, teraz pośmiewiskiem jestem domowych, gdy po przechadźce nad morzem co chwila spoglądam na zegarek, niecierpliwie czekając godziny posiłku który nam tu smacznie i obficie podają.

(d. n.)

W INDYACH.

(Dalszy ciąg).

— Pies!... — poszeptał Rahib, zrywając się pewnego razu z ziemi, w którą się wsłuchiwał.

— Pies!... — powtórzyli wędrowcy z najwyższym zdumieniem, stając w pochodzie.

Było się czemu dziwić istotnie: pies nie mógł w tych stronach istnieć bez człowieka; tygrysy, odstraszone ogniskami i wystrzałami dzikich, gdy ci mimo największych ostrożności, podejrzawali że spotkałby się z niemi mogli, udusiłyby psa w mgnieniu oka, gdyby przypadkiem tu się zabłąkał. Z drugiej znowu strony, ponieważ dżicy nie mają zwyczaju wodzić z sobą psów na tajemne wyprawy, bojąc się niedyskretnego czasem szczekania, przypuścić zatem należało, że człowiek jakiś ucywilizowany znajduje się w pobliżu i że idzie jakby na spotkanie wędrowców. Rzecz dziwna, to szczekanie nieznanego psa, dodało nagle otuchy Europejczykom. Dla czego? napróżno sami siebie zapytywali.

IX.

Mahora jednak zaniepokojony, słuchał raz po raz, zamieniając z ziomkami zakłopotane wejrzenia, dotąd szli oni bez wahania bo rozumieli, odczuwali niejako wszystkie ruchy poprzedzającej ich rozbójniczej bandy; teraz odgłosy skomplikowały się i skrzyżowały w sposób trudny do zrozumienia.

— Ktoś nieruchomy jęczy... i pies szczeka — mówił jeden z badających ziemię.

— Ktoś idzie ku nam — mówił drugi.

— Jakies wielkie zwierzę idzie ku nam... to słoń!... — mówił trzeci.

— Radziłbym postępować za głosem psa — rzekł kapitan Lory — prawdopodobnie nie dzikich spotkamy... co w naszym położeniu jest pożądane.

— Idźmyż więc za głosem psa! — I znowu ruszono w podróż, ale po kwadransie zatrzymał podróżnych bystry choć nie głęboki ani szeroki strumień, nad którego przebyciem zawahano się na chwilę.

— Ot, wielka rzecz! — lekceważąco rzekł Carré, zwracając się plecami do pana Thorny. — Proszę oto, chwyć mię komendancie oburącz za szyję, a przeniosę cię łatwo przez ten rynsztozek. A moi towarzysze tak samo zrobią z twoimi przyjaciółmi!

— No, siadajcie panowie! — rzekli inni marynarze przedstawiając plecy... tak, że daleko więcej znalazło się środków lokomocyi przez ów strumień, niż domniemanych pasażerów. Ale na to odpowiedział z prostotą pan Thorn:

— Dziękuję wam, moje dzieci; zaćny wasz kapitan i wy dajecie nam braterską pomoc, za którą niechaj Bóg wam płaci, ale to nie jest przyczyną, abyśmy mieli nadużywać waszych dobrych chęci — i pierwszy wszedł w wodę, nie sięgającą mu zresztą wyżej pasa. Szczekanie psa stawało się coraz wyraźniejszym.

— Zatrzymajcie się tu panowie na chwilę u stóp wzgórza, a ja obejdę je ostrożnie i zobaczę, co dzieje się z tamtej strony, bo ztamtąd dochodzi nas to szczekanie — rzekł Mahora, i rozciągnawszy się na ziemi popęzła na zwiady. Rodzaj pisku właściwego bardzo młodym tygrysiętom, rozległ się po chwili w umówiony raz na zawsze sposób i wszyscy pośpieszyli do wołającego: Klęczał on przy młodym Indyaninie rozciągniętym na ziemi, trzymając go za gardło jedną ręką, drugą wskazywał nadbiegającym zegarek z łańcuszkiem wiszący na żółtawo czarnej brudnej szyi dzikiego.

— Zkąd to masz? — zawołał Mac-Ulm.

— Zegarek Klary!... — szepnęło kilka głosów.

— Daruj życie! puść! — błagał dziki ranny kilkakrotnie i bardzo osłabiony. Przed nim stał z najeżoną sierścią pies najpospolitszego gatunku, ale niezmiernie rozzumnej fizjonomii i czekał nań z taką miną, że widocznem było iż łajał go w swoim psim języku. Na widok Anglików dopiero zaczął gwałtownie łasić się, machając ogonem jak wachlarzem i znowu zaszczekał na dzikiego, najwyraźniej wskazując go wzrokiem nowoprzybyłym, poczem oddawszy go niejako tym sposobem pod ich straż czy opiekę, kiwnął im raz jeszcze pośpiesznie ogonem na pożegnanie i wyciągniętym galopem popędził w świat.

— Znalazłem — odpowiedział tymczasem dziki na natarczywe pytania Mahory, który mu tłómaczył co doń mówiono.

— Gdzie?

— Tu... w trawie...

— Mów prawdę, nie zmyślaj! — zawołał pan Mac-Ulm gwałtownym ruchem przykładając mu lufę pistoletu do piersi — to należało do mojej córki, tyś obdarł moją córkę!...

— Nie ja, to starsi odebrali białej dziewczynie, potem wszyscy grali o to w kości i ja wygrałem... — mrucał dziki pod grozą rewolweru.

— Więc ty jesteś z okolic Tungary; a cóż tu robisz? Odpowiadaj albo strzelam!

— Nie mogłem zdążyć za innymi, bo rany osłabiły mię.

— Słuchaj, poraniony jesteś w walce nad zatoką ran-

gorską, dokąd chodziłeś z innymi aby sprzedać młodą dziewczynę, której wzięliście zegarek?

Dziki milczał.

— Odpowiadaj!... albo strzelę!

— Strzelaj!... wszystko mi jedno, bo i tak niedożyję jutra, umieram — stanowczo odrzekł i rozciągnął się obojętnie na trawie.

— Otóż nie umrzesz!... opatrzmy cię po naszymu i zabierzemy z sobą, leczyc cię będziemy i nieść na własnych ramionach do twojej chaty, ale za to przyrzeczesz jedną rzecz i wypełnisz co przyrzeczesz!

— Co przyrzec? Co wypełnić? — powtarzał dziki.

— Że przybywszy do Tungara, dowiesz się i wskażesz nam miejsce gdzie biała dziewczyna uwięziona będzie i dopomożesz nam ją odebrać.

— Nie; co brat to brat, a co biały to biały, nie będę wrogiem braciom.

— Nie; wszyscy, biali, czarni i wszelkiej barwy ludzie są sobie braćmi, a więc nie bądź wrogiem białej dziewczynie. Jeżeli uczynisz co żądamy, pozostawię ci ten piękny naszyjnik a nawet nauczę cię jak z nim postąpić, aby przesliczną wydał muzykę... inaczej, odbiorę ci go natychmiast!...

Czego nie dokazała groźba śmierci, ani tak pochlebne zawsze dla kolorowych uznanie ich braterstwa z białymi, to zrobiła chciwość na błyskotki, właściwa dzikim: umierający zerwał się i usiadł, oburącz przyciskając do piersi zegarek z łańcuszkiem.

— Muzykę?... naszyjnik z muzyką?... — zapytał gąsnącym głosem ale z płonąciami ciekawością i gorączką oczyma.

— Pomożesz nam odebrać białą dziewczynę?...

— Pomogę!... oni nie zabrali mię z sobą, choć widzieli że siły z krwią mi uciekły; chcą abym umarł... ażeby oni mogli wziąć mój wygrany naszyjnik!... — mruczał usprawiedliwiając w ten sposób sam przed sobą, że zwierzęcą dziką logiką, własne przewierstwo, okrucieństwem swych ziomków.

— Dobrze, my więc opatrzmy cię po naszymu, zabierzemy z sobą do twój rodzinnej chaty, naszyjnik pozostanie twoim... — mówiąc tak, Mahora przy pomocy towarzyszy z niezmierną szybkością opatrywał już rannego, imi tymczasem zawiesiwszy kawał wziętego na namioty płótna, na dwóch kijach wzięli je na ramiona i położywszy chudego, lekkiego jak wiór chłopaka, w tej zaimprovizowanej lektyce ponieśli go dalej.

— Ale muzyka! muzyka! — zapytał goniąc oczyma za Mahorą.

(d. c. n.)

ZWIERZYNIĘC WARSZAWSKI.

Smutnym bardzo losom uległ obcennie zwierzyniec warszawski; z powodu braku właściwego dozoru nad pokarmami zwierząt mięsożernych, lwy, tygrysy, pantera i hyena, najpiękniejsze jego okazy padły, zjadłszy podane im mięso, dotkniętych zaraźliwą chorobą koni. Straty to bardzo dotkliwe dla niedawno istniejącego zoologicznego ogrodu, niewiadomo

też jeszcze czy się dalej utrzyma. Jest mowa o założeniu natomiast Towarzystwa aklimatyzacyjnego, w celu przyswajania i rozmnażania pożytecznych zwierząt.

SZARADA.

Sarenka z nad Moroczku dla Jaskółki z nad Ussy.

Pierwsze — moc tajemnicza w wyobraźni ludu.

Drugi — wykrzyknik; zachęcasz nim konia, gdy wiezie wśród [trudu.

Drugie-czwarte — miejsce gdzie myszki mieszkają,
Czwarte-drugie — to pora, o której pracownicy wstają,
Trzecie-czwarte — gruntu podniesienie,
Wszystko zaś górzystego kraiku znaczenie.
Leży na południu Europy, a w tej krainie,
Lud z piękności swęj i dzielności słynie.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

od Chrobrego dla Kopciuszka.

Z następujących sylab: O—ko—o— za—Za—I—I—ni
—sing—ri—Je—zium—us—Lo—fors—ti—A—Hel—zere—
di—Bób—szan—Na—E—no—Kra—wiek—le—lia—snyj—
Głóg—a—rie—ta—Człó—ka— złożyć wyrazy oznaczające:
1. Miasto w gub. Smoleńskięj. 2. Miejsce odpoczynku na pustyni. 3. Najdoskonalsze stworzenie Boskie. 4. Miasto w Finlandyi. 5. Państwo murzyńskie. 6. Cieśnina morza Czarnego. 7. Roślina strączkowa. 8. Miasto nad rzeką Addą. 9. Dopływ Rodanu. 10. Najpotężniejszy bożek Olimpu. 11. Imię żony króla Serbskiego. 12. Miasto w gub. Charkowskięj. 13. Jezioro w Ameryce północnej. 14. Nazwa dzikięj róży. 16. Rzeka w południowej Ameryce. Początkowe i końcowe litery tych wyrazów czytane z góry na dół, utworzą jedną z najpiękniejszych zasad nauki Chrystusowęj.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 42-go.

Zadania konikowego:

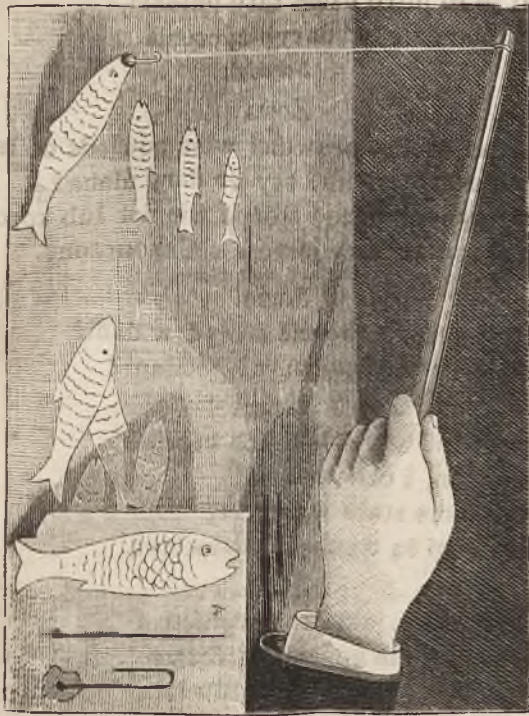
Idą z okiem tak wesołem,
Pług tak lekko płynie w ziemi,
Pada chłopiek, bije czołem,
Łzami zlewa się wdzięcznemi,
Gdy wtem anioł promienisty
Nagle w górę wzłata, leci,
A jak tęcza pas ognisty
Długi ślad się za nim świeci.

Z poematu: „Święty Lzydor” Franc. Morawskiego.

Homonimu szaradowego:

L e k t y k a.

TRESC: Z wyspy Atlanty, wyczytała przez drobnowidz i przepisała Zofia Urbanowska. — Sprawozdanie z konkursu wakacyjnego dla chłopców. — U przewozu, wiersz p. H. B. (z drzew.) — Korespondencya Wieczorów rodzinnych. — W Indyach. — Zwierzyniec warszawski. — Łamigłównki i rozwiązania. **Dodatek:** Łowienie rybek na wędkę (z drzew.) — Łakome szczury. — Wieniec, przedstawienie w przeddzień imienin ojca. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Druga matka, powieść dla dorastającej młodzieży p. Bronisławę Porawską (autorkę „Reginki”).



ŁOWIENIE RYBEK NA WĘDKĘ.

Bardzo zajmującą zabawkę, przedstawia nam powyższa rycina, jako doświadczenie oparte na sile elektrycznej. Jest to: łowienie rybek na wędkę; tylko, bez wody, bo rybki z papieru, leżą spokojnie na stole; przynęta zaś na nie, to nie ostry haczyk, na który się zaczepiają gdy są żywe, lecz niewina kulka laku. Ażeby zrobić taką wędkę bierze się zwyczajną szpileczkę i ostry jej koniec zagina się w haczyk, a główkę oblepia zwyczajnym czerwonym lakiem. Następnie przywiązuje się do patyczka kawałek nitki, długości około 25 centymetrów, na końcu której zawieszają się poprzednio przygotowana szpilka. I oto wędka gotowa; prawda, że trud nie wielki? a z rybkami rzecz jeszcze łatwiejsza, bo te wycinamy z cienkiego papieru, najlepiej z angielskiej bibułki. Kształt nadać im możemy, jaki nam się podoba, czy karpia, czy szczupaków, i wielkość ich może być także różna, o tyle wszakże, by je nasza wędka unieść mogła. Ażeby zaś podobniejsze były do rybek, wyrusujemy ołówkiem na każdej, oczy, odznaczmy skrzydła i łuski, a tak wykończone rozrzućmy po stole w niewielkiej od siebie odległości. Osoby nieobeznane z tym rybołówstwem, nie ułowią ani jednej rybki, my jednak, którzy wiemy, że w laku potartym mocno o sukno, lub flanelę, budzi się siła elektryczna, która przyciąga lekkie przedmioty, od razu dokonamy sztuki i przeniesiemy wszystkie rybki ze stołu na przygotowaną miseczkę.

ŁAKOME SZCZURY.

(Dokończenie).

I wzięli, a różowe ciasteczko podzielone na dwoje, znikło w jednej chwili.

Dzieci rozłakomione, zapomniały w końcu o wszystkim, sprzątały ciastka jedno po drugim, aż spostrzegły, że tylko dwa zostały na koszyczku. Przełękły się, ale jak to zwykle bywa, że jedno złe, pociąga za sobą drugie, tak i teraz, z obawy aby mama nie spostrzegła że tak mało ciastek, po krótkiej naradzie, wzięli i te dwa, a koszyczek postawili na małym stolyczku za szafą. Ledwie że to zrobili, Franciszka wróciła z cytrynami, i powiedziała, że teraz Karolek może powiedzieć mamusi, że wszystko już gotowe, i poszła do kuchni.

Dzieci spojrzwały na siebie niespokojnie, jakoś serduszką im bić zaczęły, ale trudna rada, trzeba iść do mamusi, Karolek poszedł, a Florcia stanęła skromnie w kąciuku.

Mama wprowadziła gości do stołowego pokoju, a obrzuciwszy wzrokiem stół cały wyszła śpiesznie do kuchni, a wróciwszy, spojrziała na dzieci, które stały przy sobie, z mocnymi rumieńcami na buziach.

Nie powiedziała do nich jednak ani słowa, tylko zaczęła nalewać herbatę, i częstować gości,

Jedna z tych pań, była to bardzo serdeczna przyjaciółka mamy, uczyły się razem za młodu, ale z tą drugą, widywały się rzadziej, bo pani ta mieszkała na wsi, i nie często mogła przyjeżdżać do miasta.

— Jak mi też przykro — rzekła mama, gdy wszyscy zasiedli przy stole — że nie mogę cię kochana Kaziu poczęstować ciastkami, które wiem że lubisz, ale...

I mama przestała mówić, a Karolek i Florcia, aż oddech zatrzymali w piersiach z trwogi, co też mama dalej powie!

— Ale co? — zapytała przyjaciółka mamy — zapomniałaś kazać przynieść, czy tak?

— O, nie — rzekła mama zakłopotana — kazałam przynieść, ale mam w mieszkaniu takie łakome szczury, że wszystkie przysmaczki zawsze wyjedzą same.

— Czy być może? — zapytała ta pani ze wsi — nie wiedziałam żeby w mieszkaniu na piętrze, i to w mieście mogły być szczury, to rzecz osobliwa. Czy nie można by zastawić na nie pułapki?

— To bardzo byłoby trudno — rzekła mama z westchnieniem — bo trzeba pani wiedzieć, że ja te szczury bardzo lubię, i zawsze pamiętam, aby nigdy nie były głodne, wolałabym sama nawet nie jeść aby im nie zbywało na niczem, ale szczury, zwyczajnie jak zwierzątka, nie umieją tego ocenić, i takie psoty często mi płatają. I dziś właśnie tak samo się stało przed samą herbatą, tak że nie było czasu iść po inne.

— Ach, to nic nie szkodzi — rzekła ta pani ze wsi — bez ciastek żyć można, ale ja ciągle myślę o tych osobliwych szczurach. U mnie na wsi niema szczurów, ale są koty psotne, lecz ja gdy wychodzę z pokoju, jeżeli stół zastawiony łakociami, to zostawię w zastępstwie moje dzieci, które dobrze pilnują, aby kotek nie ściągnął ciasteczka. Ale przecież i pani ma dwoje dzieci — dodała pani obracając się do Karolka i Florci.

— A tak, mam — odrzekła mama cicho.

— Moja córeczka jest w wieku Florci—mówiła pani dalej—a chłopczyk ma dopiero cztery lata, ale mogą przy nich wszystko zostawić, nie pozwolą kotkowi ani ruszyć!

Mama zawołała dzieci do stołu, dała im herbaty i bułeczki z szynką, ale im jeść się nic a nic nie chciało, były smutne, i ciągle oczy miały spuszczone w filiżanki.

Gdy po herbacie wychodzili do sali, mama przechodząc koło dzieci, rzekła:

— Ach niedobre, łakome szczury.

Karolek się rozplakał, Florcia która mu zawsze we wszystkim pomagała, także w płacz uderzyła, i biedne dzieci z bólem głowy spać poszły. Ale czy uwierzycie, od tego wieczoru, już nigdy o szczurach ani słyhać, a gdy znów w czas jakiś było dużo gości, Florcia w białym fartuszkę układała na srebrnym koszyczku ciastka, pomagając Franciszce.

Karolek jako chłopczyk, nie brał się naturalnie do tego, siedział sobie spokojnie na krzeselku i czytał książkę.

Gdy goście przyszedli na herbatę, zauważyli zaraz Florcię, która z uśmiechniętą buzią kłaniała się wszystkim, a mama wesółła i szczęśliwa, zaprezentowała córeczkę, mówiąc:

— To moja kochana gosposia i pomocnica.

A na te słowa mamy, serduszko Florci biło taką radością, jakiej nigdy przedtem nie doznawała, i przy stole powiedziała cicho do braciszka:

— Wiesz, Karolku, że ja wcale teraz ciastek nie lubię tak bardzo jak dawniej, a co na migdałowe, to parzyć nie mogę.

— I ja tak samo—odrzekł Karolek również cicho—wyrzekłbym się wszystkich ciastek, aby tylko mamusia zawsze tak wesółła na mnie spoglądała.

Kremowych ciastek, nigdy w życiu do ust nie wezmę, zbrzydły mi.

I dzieci prawdę mówiły, od tej pory nic sobie nie robiły z najlepszych przysmaczków, ale za to jak się też ślicznie uczyły, jakie były grzeczne i rozumne, przestawszy myślenie o tem, aby zjeść jak najwięcej czego smacznego.

Bronisława Porawska.

WIENIEC.

Przedstawienie w przeddzień imienin ojca.

OSOBY.

AŃDZIA, najstarsza córka solenizanta,

ZOSIA }
RÓZIA } młodsze córki.

JÓZIO, najstarszy syn.

KAZIO, najmłodszy.

BRONISIA, synowica.

IGNAŚ }
WŁADZIO } synowcy.

STASIA, córka chrzestna.

ADELICJA, współtowarzyszka dzieci.

(Dzieci tańczą w salonie. Ańdzia wchodzi zamysłona, a idąc między niemi, mówi do siebie przerywanym głosem).

AŃDZIA.

Co tu począć? jak? kiedy? gdzie? i w jakim gronie?

Ach! jak mi serce bije! jak pałają skronie!

Chciałabym świetnie uczcić ojczulka rocznicę.

(obudziwszy się z zamyslenia mówi).

Lecz co to? u was widzę jakieś wieczornice, Gdy ja w głowę zachodzę dziś, od pytań wielu! To wy sobie tańczycie, jakby na weselu! Niepomni że to jutro dzień taty imienia, Że wypada nam złożyć dary i życzenia.

(Narady).

ZOSIA.

Ach prawda! wielka prawda! więc powiedz co trzeba, Sięgnąć po skarby ziemi? czy po dary nieba? Czy z wdzięcznych uczuć złożyć wieniec lub koronę Bo nasze skromne dary jeszcze nie skończone.

JÓZIO.

Jakto? koronę chcecie złożyć w dani? A gdzie tron? berło? purpura? poddani?

AŃDZIA.

Myśmy poddani, a w szkole ich krocie! I tron nie jeden, i oznaki inne; Korony tylko nie stało w istocie; Więc twe uwagi są trochę... dziecinne.

ZOSIA.

Widzisz braciszku, jakieś roztargniony; Bo czy nasz tata nie godzien korony? Choćby ze złota, pereł i klejnotów?...

JÓZIO.

Ależ jam na to z całej duszy gotów! Tylko nie mogę pojąć należycie, Jak z wdzięcznych uczuć koronę złożyć?

ZOSIA.

I ja też nie wiem, jeśli wyznać szczerze, Jaką dziś postać nasza myśl przybierze; Lecz jest nas tyle, radźmy więc mój drogi, A może komu błysnie pomysł błogi.

ADELICJA.

Możeby nasze osobne życzenia Ułożyć w jedno, jakby od niechcenia, Ty wiersz, ja drugi, Ańdzia trzeci powie, Ta czwarty, piąty, wciąż w jednej osnowie Niechaj się życzeń coraz więcej mnoży, Aż się i wieniec do końca ułoży.

STASIA.

Myśl nie zła; lecz jej w mowie wykonać nie sposób, Bo skądże tyle życzeń wziąć na dziesięć osób? Tobyśmy się powtarzać musieli, i nieraz.

BRONISIA.

A możeby za ręce ująwszy się teraz, Solenizanta wdzięcznym objąć naraz kołem, I uczucia serdeczne wyśpiewać mu społem.

IGNAŚ.

Ja sądzę

AŃDZIA.

Ach, słuchajcie! mam już myśl gotową, Wyśmienitą! niezwykłą! choć może nie nową! Oto z ręką na sercu niech każde rozważy, Jaka wada go szpeci, co mu nie do twarzy, I tej się wyrzekając, jak sumienie każe, Zaletę odpowiednią złoży tacie w darze.

WSZYSCY.

Wybornie! zgoda!...

ZOSIA.

To ci się udało!...
Lecz jak tu wady swe wyjawić śmiało!
Toby mię wszyscy nie mieli już za nic!

AŃDZIA.

Poświęcenie dla taty być winno bez granic.

ZOSIA.

Pięknie i słusznie! lecz ci powiem szczerze,
Iż wad swych nie znam, a więc ich nie zmierzę.

JÓZIO.

Ani ja z Kaziem.

IGNAŚ I BRONISIA.

Ani my oboje.

STASIA.

Ani ja.

WŁADZIO Z RÓZJĄ.

I my.

ADELICIA.

Ach! jak ja się boję!

AŃDZIA.

A jednak wszyscy wiecie doskonale.
Że na tym świecie nikt nie jest bez *wady*;
Lecz, gdyście tacy nieświadomi siebie,
To was wyręczą inni w tej potrzebie.
Każde z nas po kolei siędzie w środku koła,
Inne zaś zbierze głosy, i wady obwoła,
A coby sązonego najwięcej ubodło,
Na to sobie obierze wręcz przeciwne godło,
Ażeby w jego imię wadę swą obalić,
A cnotę lub zaletę wszczepić i utrwalić.

IGNAŚ.

Więc się zabawim w cenzurowanego?

STASIA.

A cóż to szkodzi? czy wtem co dziwnego?

Alboż to czasu strata lub ubytek,
Że połączymy z zabawą pożytek?...

IGNAŚ.

No! zgoda, zgoda! zróbmyż koło duże.

ADELICIA.

Lecz kto najpierw podda się cenzurze?

AŃDZIA.

Ja pierwsza się poświęcam na sądów ofiarę,
Ale proszę o względy, sumiennosc i miarę.

(Zosia obchodzi towarzystwo i sekretnie zbiera głosy, a Ańdzia tymczasem siada na środku i mówi do siebie).

AŃDZIA.

Co oni złego o mnie wyrzec mogą?
Przecież ja zawsze chodzę prostą drogą;
Jestem otwarta, szczerza i niezmienna,
Więcbym przygana była niesumienna.

ZOSIA *(do Ańdzi)*.

Mówią że jesteś miła, wdzięczna i serdeczna,
Lecz strojniasia, grymaśna i czasem niegrzeczna.

AŃDZIA.

Kto moje winy tak bardzo przecenia,
Ja niechcę wiedzieć w dniu taty imienia,
Lecz odtąd wady swoje w cnoty zmienię,
I za me godło biorę poświęcenie.

(Poczem zwraca się do babci po stosowne godło i otrzymuje opaskę srebrną na głowę ze złotym na niej krzyżem. Teraz Ańdzia zbiera głosy towarzystwa, a Zosia siada na środku i mówi do siebie).

ZOSIA.

Ciekawam jakie mi zarzucą wady?
Wszakżem spokojna, skromna bez przesady;
Może powiedzą, że oziębła, śpieszka,
Żem wygodniasia... ach! w tem prawdy troszka.

AŃDZIA *(do Zosi)*.

Powiadają żeś zdolna, skromna i łagodna
Lecz śpieszka, nieporządna, oziębła i chłodna.

ZOSIA.

A więc się oziębłości wyrzekam na wieczność,
I odtąd za me godło przyjmuję serdeczność.

(Otrzymuje od babci opaskę z sercem, potem Bronisia zbiera głosy, a Józio siada na środku i mówi do siebie).

JÓZIO.

Bardzo tych cenzur i głosów ciekawy,
Bo któż dziś może ganić moje sprawy,
Rysuję, czytam i piszę usilnie,
A zwad i sporów unikam też pilnie.

BRONISIA *(do Józia)*.

Słyszałam wiele rzeczy dla niego przyjemnych,
Pochlebnych i życzliwych, lecz dość i ujemnych,
Żeś pilny, wdzięczny, uważny i grzeczny,
Lecz zawadyjak, drażliwy i spreczny.

JÓZIO.

Aby zapewnić wam spokój i zgodność
Obieram sobie za cnotę łagodność.

(Poczem otrzymuje opaskę z półksiężycem. Następnie Józio zbiera głosy, a Bronisia siada na środku i mówi do siebie).

BRONISIA.

Gdzie oni na mnie dopatrzą się plamy?
Kiedy ja słucham i taty i mamy,
Uczę się jakoś, i bawię się zgodnie,
A śpiewam sobie cicho i łagodnie.

JÓZIO *(do Bronisi)*.

Mówią, żeś zwinna, wesoła i słodka;
Lecz nieopatrzna, wykrętna i trzpiotka.

(d. n.)

SZARADA.

Dla Niezabudki czeskiej, od Niezapominajki z nad Warty.

Pierwsze z trzecim, imię będzie,
Drugie, spotkasz w liter rządzie,
Całość, gdy zechcecie
W Afryce znajdziecie.

Łamigłówka kwadratowa.

. . * . .
. . * . .
* * * * *
. . * . .
. . * . .

Zastąpić kropki literami tak, aby rząd środkowy wzdłuż i środkowe litery w poprzek utworzyły wyraz 1, drzewo. 2, jarzyna. 3, 4, stowarzyszenia rzemieślników. 5, zbiorowisko wody płynącej.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 42-go

Szarady:

Ka — pu — sta.

Łamigłówki:

N
r a k
N a u k a
o k o
a

Skrzynka do listów.

Sarence z nad Bałtyku pospieszamy donieść że losy warszawskiego zwierzyńca po stratach jakie poniósł obecnie jeszcze nie zostały ustalone. Nie wiadomo więc czy istnieć będzie i w jakiej formie, wszystkie zatem datki na ten cel uważamy za przedwczesne. Przesyłka więc pozostaje dla dalszego twego rozporządzenia Sarenko.

Z ubolewań twoich nad stratą numerów Pisemka widzimy, **Biała Perełko**, jak bardzo porządna być musisz i dbała o całość rzeczy, które posiadasz, a specjalnie nam to pochlebia, że stratą numerów „niezmiernie” jesteś zmartwiona. Żeby jednak oszczędzić ci zmartwienia posłaliśmy żądane numeru; dla biednych pozostało kop. 70, które z wdzięcznością przyjmujemy, bo zaglądnąca w oczy zima straszniejszą przynosi z sobą nędzę.

W Redakcyi zjawiała się dziw nad dziwy: **Czteroooczka**, która dla zawarcia bliższej znajomości z dwuocznymi czytelniczkami, liścik do jednej z nich nadesłała. Witamy cię serdecznie i razem dziękujemy za udzielone nam objaśnienie dotyczące się żmudzkiej nazwy. Istotnie, brzmi ona nader dziwnie, jak zresztą cały język żmudzki, z którym nieobyte są uszy nasze.

Jakże ci zazdrościmy **Wróżbiarko szczęścia**, tych róż na które jeszcze patrzysz. Z listu twego wnosimy, że kwiaty nie mniej lubisz od powieści, i nie dziwimy się, że tak ci się „Druga matka” podoba. Autorka z wielką prawdą i z wielkim razem talentem przedstawiła postać tej idealnej *Drugiej matki*, która umie być matką prawdziwą.

Prośbie **Stokrotki z nad Stochodu** chętnie zadość czynimy. Na „Tygodnik Mód” wydano rs. 5, Arytmetyka z przesyłką kosztuje rs. 1 kop. 25, pozostaje więc na dalszy rachunek rs. 3 kop. 75.

Polka z nad Szczary niecierpliwie wygląda rozstrzygnięcia konkursu. Nie dziw, kto ma lat 10 a tak dobrze na swój wiek szyje...

Gołąbka powinna już niedługo przyjechać; mamy do niej listy od **Kulki Śniegowój**, od **Niezapominajki z nad Warty**, która ją obdarzyła swoją fotografią i od **Wróżbiarki szczęścia**. Wyobrażamy sobie z jaką radością pochwyli cały stos czekających na nią korespondency!

Nie, **Niezapominajko z nad Warty**, Kazio nie był „panienką”.

W-ny Tar. w Sw. Pismo nasze wysyłamy bez przerwy, numeru zalegać muszą na ostatniej poczcie.

Panu **W. K. R.** Wierszyk, w tej formie jest nie do druku. Jedna to z form najtrudniejszych do naśladowania dla tego właśnie, że ma tak świetne wzory.

Drogi Michalku! List twój bardzo mię ucieszył. Czy nie znasz pana Longina Podbiپیęty? Pisałem do was obydwoh, lecz ten ostatni nie odpisał mi. Jestem w 3-ciej klasie i w końcu stycznia kończę 14 lat. Wiecz. Rodz. czytam dopiero w tym roku. Ulubioném mém zajęciem jest czytanie i rysunki. Marzeniem moim jest, po ukończeniu gimnazjum skończyć akademię sztuk pięk-

nych, a tymczasem biorę lekcye u nauczyciela rysunków. Dotychczas nie brałem udziału w żadnym konkursie, ale gdyby Redakcyja ogłosiła konkurs rysunków, to chętnie należałbym do niego. Wierszy nie piszę, ale lubię je czytać; zatem proszę cię przyslij mi które z twoich. Adres mój znajdziesz w Redakcyi pod nazwiskiem „Wilkomirskiego”. Żegnaj cię i czekam rychłej odpowiedzi. Twój *Kmicic*.

Drogi: **Horpyno**, **Piosenko**, **Kulko śniegowo**, **Wiochno z pod Lublina** i **Niezapominajko z nad Warty**! **Horpyno** kochana gospodarstwo lubię, **Piosenko** milutka! i wy wszystkie szanowne staruszki czy przyjmiecie mnie do waszego miłego gronka? **Kulko śniegowo**! miejsce gdzie mieszkasz znam z opowiadań méj mateczki, która tam spędziła dziecinne lata. **Kaczek** wychowałam dość sporą gromadkę. **Wiochno z pod Lublina**! ucieszyłaś mnie bardzo twym listem, **Niezapominajko**! w Kaliszu nie bywam często. Ściskam was prosząc o pamięć dla kochającej was wszystkie *Wróżbiarki szczęścia*.

Nie uwierzysz **Rosiczko** miła jakbym cię chciała zobaczyć! Mówiła mi **Hela P.**, żeś bardzo urosła, bo co do mnie, to wysoka nie będę. Czy wiesz? że wyjeżdżamy na stałe mieszkanie do Kamieńca? Czytałam teraz „Dwie siostry”; tak mi się bardzo podobały, że **Kazia** stała się moim ideałem. „Wieczorów” twoich nie odesłałam, w nadziei, że sama po nie przyjedzie. *Poranek*.

Drogi moje: **Cicha Wodo**, **Radomianko**, **Jaskółko z nad Sekwany** i **Brzydotko z nad Tamizy**! **Milutka Cicha Wodo** podczas upałów o mało nie stopniałam z gorącą, lecz **Cicha Woda** mnie ochłodziła. Czy naprawdę jesteś cichą? **Radomianko** złota mieszkam na prowincyi, uczę się w domu, rok mam 15-ty, na imię mi **Marylka**; którą z nauk najlepiej lubisz? **Droga Brzydotko** czy w Londynie spędziłaś wakacje? **Jaskółeczko** nie gniewaj się, będę do ciebie pisywać; jak spędziłaś wakacje? Posyłam wam siostrzyczki drogim miliony całusów, pisując do mnie często, a sprawicie wielką przyjemność *Kulce Śniegowiej*.

Kochana Brzydotko z nad Tamizy! Bardzo ci dziękuję, za tak prędką odpowiedź. Gdzie teraz mieszkasz i co porabiasz? **Wakacje** przeszły nam bardzo przyjemnie, uczyłyśmy się mniej, za to czytałyśmy dużo i szyłyśmy na konkurs. Po kolacyi chodziliśmy przed domem, przypatrując się gwiazdom, do północy spać. Czy ci się podoba „**Druga Matka**”? bo mnie bardzo. Całuję cię serdecznie i proszę odpisz mi. Twoja *Iskierka z pod Lublina*.

Kochana mała Laszko! Dlaczego mi nie odpisałaś? Czy byś się na mnie gniewała? Jeżeli tak nie jest to odpisz mi przez **Wieczory**. **Liliano** droga jestem także nową prenumeratorką, może będziemy do siebie pisywać? **Milutka Gloksynio**! Zostałam niedawno staruszką. Czy przyjmiesz mnie do grona twych korespondentek? Czekam waszej odpowiedzi i ściskam was wszystkie tysiące razy oraz **Światelko** i **Pocieszkę**. *Prawda*.

Kochana Niuro! Czy **Arkadek** pójdzie do szkół? Bo ja już chodzę na pensję i bardzo się cieszę że się ucę. Napisz mi czy **swawolnik** sprzedany, i czy **kucyk** żyje. Żegnaj ciebie i **Arkadka**. *Dzika Róża*.

Kochane Rajskie Jabłuszko, **Rosiczko** i **Światelko**! Przepraszam cię, **Jabłuszko**, że nie odpowiedziałam na twój liścik, pilnie się ucę. Podobał mi się twój pseudonym **Rosiczko**, i pragnę z tobą korespondować. Napisz jak ci na imię, wiele masz lat, gdzie mieszkasz? Znam cię, **Światelko**, z opowiadania. Czy zechcesz z mną korespondować? Na imię mi **Ludmiła**. Mam 9 lat. Jestem jedynaczką. Uczę się w domu. Mieszkam niedaleko **Kijowa**, w miejscowości gdzie znajduje się fabryka cukru. Ściskam was serdecznie i proszę o odpowiedź. *Goryczka*.

Najmilsza Sikoreczko! Liścik twój sprawił mi wielką radość; mam już dwie przyjaciółeczki, **Czarną Perełkę** i ciebie i kocham was bardzo. Czy należałaś do konkursu robót? Ja jeszcze żyć nie umiem. Kurki moje już duże, a oprócz żółtej, mam jeszcze i białą. Czy lubisz się uczyć? Ja bardzo, a bardziej jeszcze lubię czytać nasze kochane, **Wieczory**. Całuję ciebie i twoją małą siostrzyczkę po sto razy. *Kuropatewka z nad Warty*. P. S. Pracę zasylałam uściśnienie.